

CZŁOWIEK SZUKA SPRAWIEDLIWOŚCI...

Sensacyjny romans współczesny

271

— Ja nie mogę... — wyszeptała. — Nie mogę tam przyjść...
— Dlaczego?...
— Bo tak już jest, że nie mogę...
Powiodła dłonią po rozpalonym czole i po chwili zapytała:
— Czy... pan Łubkowski... rozmawiał z panem o mnie?...
— Naturalnie... — skłamał Frankenstein bez wahania, by zyskać sobie zaufanie Magdy.
— Rozmawiał, doprawdy?...
— Rozmawiał... Nawet bardzo dużo.
— A on tu przychodzi? Nie kłamie pan?... Nie, nie przychodzi... — zaprzeczyła sama sobie. — Gdyby przychodził, widziałabym go przecie... Jabym go musiała widzieć...
— Nawet dzisiaj był... I nie widziałas go, prawda?...
— Był?... Jakto? Był i już poszedł? Tak od razu poszedł?...
— Tak... Nawet nie wszedł do pokoju...
— Aha... — potrzęsła smutnie głową. — Już ja rozumiem. Dowiedział się, że ja tu jestem, albo mnie widział i dlatego poszedł... A prawdę pan mówi? Prawdę? Najszczerzą?...
— Nigdy nie kłamie, moja mała... Zresztą, skądbym wiedział o tem wszystkim?...
— No, tak... — potwierdziła...
Frankenstein uśmiechnął się do siebie z zadowoleniem. Mimowoli wdarł się w jakąś tajemnicę dziewczyny, co ułatwi mu znacznie pozyskanie jej zaufania. Wszystko składa się dobrze, po jego myśli. To jest jasne, że Łubkowski uwiódł tę śliczną pokojówkę, a potem porzucił ją dla niemłodej, ale za to bogatej Grantowej.
Fakt ten umożliwił jemu, Frankensteinowi, roztoczenie „opieki” nad porzuconą, a potem... Potem wszystko powinno pójść, jak z płatka...
W takim razie lepiej mówić z nią gdzieindziej, chociaż to bardzo niewygodne... Gdy tak zastanawiał się nad tem, Magda odezwała się znowu:
— To on, pan Łubkowski mówił panu o mnie?...
— Mówił...
— A co mówił?...
— Różnie... To i owo... Wszystko mówił, moja mała... O key...
— I chce, żebym do niego przyszła?...
— No tak... — musiał potwierdzić, bo przedtem już tak powiedział.
Pomyślała krótko, potem stanowczym tonem:
— Dobrze... Pójdę do niego... Pójdę, chociaż nie powinienam... Ale muszę mu powiedzieć wszystko, co o nim myślę... Niech wie, niech wie... Gdzie on mieszka?...
— Wilcza 99... mieszkania cztery...
— Trafie tam... Przyjdę... Przyjdę...

— O której?...
— O czwartej...
— Napewno?...
— Napewno... Ja z nim pogadam, po gadam... — przygryza wargi.
Załatwiwszy tę sprawę, Frankenstein udał się do salonu. Tu, podniósłszy rękę do góry, pożegnał się z gośćmi okrzykiem: „God night every body”....

Rozdział 217

Człowiek, którego Frankenstein się boi...

Nazajutrz w słoneczną, wiosenną niedzielę szedł kapitan Frankenstein równym miarowym krokiem w stronę ulicy Wilczej... Dochodziła czwarta, a więc pora, kiedy śliczna pokojówka Justynów miała zjawić się w mieszkaniu Grantowej...
Spojrząwszy na zegar uliczny, Frankenstein zorientował się, że powinien przyspieszyć kroku, bo zamierzał pomówić z Andrzejem przed przybyciem dziewczyny... Chciał dowiedzieć się od niego pewnych szczegółów, a pozatem — musiał przecie spenetrować jakoś teren...
To, że Grantowa może się nie zgodzić na rozporządzenie jej mieszkaniem przez poznane dopiero wczoraj człowieka, nie wchodziło wogóle w rachubę. Był zupełnie spokojny, że z tą sprawą da sobie tak czy owak radę...
Gdy znalazł się przy zbiegu ulic Marszałkowskiej i Wilczej, usłyszał nagle za sobą czyjeś gwizdanie...
Kto inny nie zwróciłby na ten szczegół najmniejszej uwagi, w przekonaniu, że to pogwizduje sobie jakiś ulicznik, czy gazeciarz, ale on drgnął, przystanął i odwrócił się szybko...
Na twarzy jego malowało się silne wzburzenie, oczy jego przeskakiwały szybko z przechodnia na przechodnia, szukając tego, który gwizdał...
Gwizdanie to ustało już, ale on, nie ruszając się z miejsca, ciągle szukał, bez skutku jednak...
Postawszy jeszcze kilka minut machnął ręką i mruknął do siebie:
— Przeszyszałem się, nieinaczej... Bo skądby tutaj... w Warszawie?...
Już zamierzał przejść na drugą stronę ulicy, gdy gwizd rozległ się znowu. Dyskretny, cichy, obejmujący kilka początkowych taktów popularnej piosenki amerykańskiej.
Frankenstein zaklął obrzydliwie i tym razem ze złością zaczął szukać gwizdającego.
Cofnął się o kilka kroków, zajrzał do pierwszej napotkanej bramy, jakby spodziewał się, że tam znajdzie tego, który

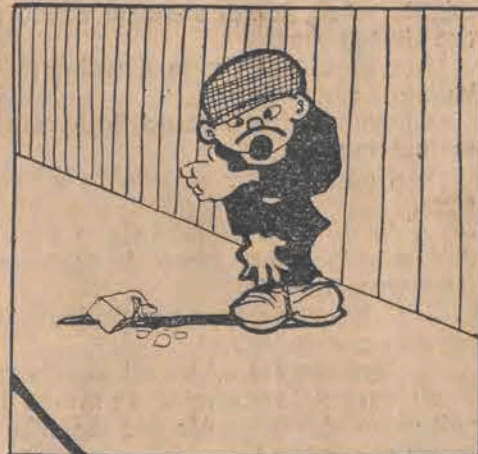
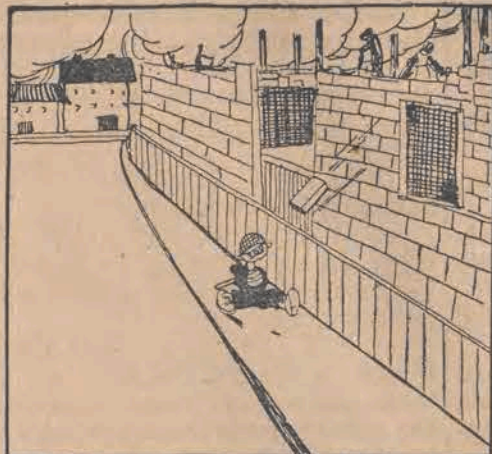
poczem opuścił mieszkanie Justynów...
Leżąc teraz na niewygodnym, skrzyżniętym łóżku hotelowym, przypominał sobie do wszystko i bezustanku uśmiechał się do siebie z zadowoleniem...
Na dworze poczęło już szarzeć, gdy zgasił lampkę na nocnym stoliku i natychmiast zasnął...

plata mu figle, wreszcie z ust jego wydobył się krótki okrzyk:
— O!...
Zatrzymał się w miejscu, jak zahypnotyzowany, utkwivszy wzrok w otwartym, sportowym samochodzie, stojącym tuż przy chodniku, a właściwie — w czło-wieku, który siedział przy kierownicy i również patrzył na niego. Mierzyli się tak oczami przez pewien czas.
— Hallo!... — zawołał wreszcie człowiek w samochodzie.
— Hallo!... — odpowiedział Frankenstein na to powitanie.
Człowiek w samochodzie, niemłody już mężczyzna, o gładko wygolonej twarzy, siwiejących włosach, ubrany bardzo starannie, wyjął z ust cygaro i skinął głową.
— Chodź tu, Frankenstein... — powiedział po angielsku.
Ten zbliżył się posłusznie.
— How do you do, Frankenstein?...
— I'm very well, and you?...
— Sure... Nie spodziewałem się, że spotkamy się w tem mieście, Frankenstein...
— I ja nie...
— Ale widać, los lubi płatać ludziom figle...
— O key!... Masz rację, Parker...
Frankenstein powiedział to dziwnie pokornym tonem, jakim nie przemawiał do nikogo. Widać było od razu, że ma on wielki respekt dla mężczyzny, siedzącego w samochodzie, a którego nazywał Parkerem.
Ten zaś — przeciwnie — traktował groźnego awanturnika z demonstracyjnie okazywanem lekceważeniem i wyższością, jak zwykli szefowie traktować swoich źle płatnych pracowników...
Parker poprawił prostokątne szkła okularów, pozbawione oprawy, nie spuszczając przez cały czas oczu z twarzy Frankensteina.
Na wargach jego ukazał się uśmiech zadowolenia, gdy dostrzegł, że Frankenstein opuścił głowę.
— No, i co, mój drogi przyjacielu?... — pokiwał głową z politowaniem. — Dawno tu jesteś?...

— Od trzech miesięcy...
— To znaczy, że przyjechałeś tu wprost z Ameryki...
— O key!...
— Znasz dobrze to miasto?...
— Znam...
— No, to siadaj do kierownicy, bo ja muszę wypytywać każdego policjanta o drogę... Szukam mego hotelu, bo chcę zjeść obiad... Siadaj, zjemy razem... No, Frankenstein?... — zmarszczył gniewnie czoło, widząc, że tamten nie kwapi się zbytnio z wykonaniem jego polecenia. — Czyżbyś miał zamiar odmówić memu zaproszeniu?... Byłoby mi barzo przykro.
— Nie mam czasu, Parker... — odrzekł Frankenstein, rozkaładając bezradnie ręce. — Doprawdy, wierz mi, że nie mam czasu... Mam teraz załatwić bardzo ważny interes... Innym razem możemy się spotkać, bardzo proszę... Powiedz kiedy i gdzie, a przyjdę napewno...
— Jak ostatnim razem, gdyśmy umówili się w Chicago?... Nie wierzę ci, Frankenstein...
— W Chicago było zupełnie co innego... Musiałem ukryć się przed policją i dlatego wyjechałem do New-Yorku... Sam wiesz chyba, że tak było, bo twoi ludzie wiedzieli...
— Sure, moi ludzie powiedzieli mi, żeś wsiadł na okręt i pojechał do Europy... Ale nie gadajm o tem, jeżeli nie chcesz wyprowadzić mnie z równowagi... Wsiadaj...
Wyras twarzy Frankensteina zmienił się nagle pod wpływem decyzji, jaką w tej chwili powziął. Rzucił okiem do kieszeni, w której przechowywał rewolwer.
Natrafivszy na pustą kieszeń, zbladł i wytrzeszczył oczy.
Parker zaśmiał się nieprzyjemnie, ubawiony miną tego, który chciał doń strzelać. Potem siedząc ciągle nieporuszony na tem samym miejscu, z cygarem w ustach, powiedział:
— Myślałeś, że tak łatwo mnie sprzątniesz? O, mój przyjacielu, przykro mi, że przestałeś wierzyć w mój spryt i przebiegłość... Ledwo zacząłeś ze mną rozmawiać, już nie miałeś przy sobie rewolweru... Jeszcze raz przekonałeś się, że walka ze mną do niczego ciebie nie doprowadzi... Wobec tego nie sprzeciwiaj się mojej prośbie i siadaj przy kierownicy... No?... Jeszcze się ludzisz, że zdołasz uciec przede mną?...
Ostatnie słowa były powiedziane dlatego, że Frankenstein uczynił rzeczywiście taki ruch, jakby zamierzał rzucić się do ucieczki. Teraz usłyszawszy, co mówił Parker, zawahał się i nie ruszył z miejsca.

(Dalszy ciąg jutro)

Przygody bezrobotnego Kuby



Szedł raz Kuba przez ulicę obok domu z rusztowaniem. Gdy wtem zgóry wprost na niego Cegła spadła niespodzianie...

— „Rety!... — Jęknął głucho Kuba — Niech was porwą wszyscy kaci!... A właściciel tej budowli Grubo za to mi zapłaci!”...

Kamienicznik go wysłuchał I oświadczył bez wahania: — „Za tę cegłę pan dostaniesz Złotych sto odszkodowania”...

— „Brawo!... — ryknął nasz bohater — Tak dziś forse się zarabia! Jeszcze kilka takich cegieł I już można żyć jak hrabia!” (C. d. n.)

